

Księga wyjścia – 29

23 września 2019

Ballada o smutnym bigosie

Demokracja idealna – to oczywiście oksymoron, ale ponieważ wybory nadchodzą wielkimi krokami to kampania wrze jak smoła w beczce na budowie dachów domów z plusem. Tych z desek kreślarskich (sądziłem, że architekci pracują już przy komputerach).



Gdzieś na jakimś murze widziałem napis: „miłość do Polski to ekonomicznie Syndrom Sztokholmski”, coś w tym jest. Żyjemy w kraju wiecznego eksperymentu i to eksperymentu na ludzkim organizmie. Od realnego socjalizmu, po plan Balcerowicza, który miał być mieszanką ustrojową dwóch kontynentów Ameryki. Południowej z północną. I faktycznie, niewielka część społeczeństwa dostała tę metaforyczną wizję ustrojową, część została w Boliwii czy brazylijskich fawelach, a reszta dryfuje gdzieś po „trójkącie bermudzkim”.

Kampania wyborcza ruszyła z kopyta. Nie sposób oprzeć się wrażeniu, że wszyscy działają w jakimś nieprawdopodobnym chaosie, determinacji i amoku. Zachowują się jak modelowy

urzędnik, który po kilkudziesięciu latach nienaganej pracy odkrył, że po raz pierwszy w życiu zasnął do pracy. Trudno nie dostrzec tego całego bałaganu, nieprzemyślanych ruchów i braku pomysłu na kampanię. We wszystkich komitetach. Nawet partia władzy, która ustaliła datę wyborów zaczyna wpadać w panikę. Afery zaczęły już wypływać lawinowo i gdyby tylko mogli ogłosiliby wybory natychmiast, bez kampanii. Obietnica podwyżek padła i to wystarczy. Każda afera spada teraz na ich barki i mimo tłumaczenia, że to wina poprzedników, już niewielu daje się na to nabrać. Perfekcyjnie opanowali komunikację ze społeczeństwem, mówią prostym i zrozumiałym językiem.

Dwa hasła wypowiedziane przez Kaczyńskiego – do końca 2020 roku najniższa pensja wyniesie trzy tysiące, a do 2024 cztery.

Kidawa Błońska, gdyby miała powiedzieć to samo, zapewne zaczęłaby od słów: w trosce o obywateli, po przeprowadzeniu analiz i konsultacji, musimy pamiętać o tych najbiedniejszych, ale musimy także dbać o przedsiębiorców. Poziom najniższej pensji ustalimy po szerokich konsultacjach z ekspertami, pracodawcami i pracownikami. Być może uda się osiągnąć przyzwoity poziom wynagrodzeń jeśli będziemy dopłacać do pensji. Taki mamy plan i jest on realny – . Pomijam fakt, że już w połowie pierwszego zdania ludzie przestaną rejestrować co mówi, a jeśli dotrważą do końca, to będą mieli sporo kłopotu, by złożyć to w całość. Całość z której nic nie wynika. A tu sam prezes wyszedł i w kilku pierwszych słowach podał dokładne sumy i konkretne daty. Dalej i tak nikt nie słuchał. Kaczyński doskonale o tym wie, w taki sam sposób na swoich wiecach i spotkaniach wyborczych mówił Wałęsa. Gdy ktoś z sali krzyknął, że nie ma mieszkania, to Wałęsa bez wahania wskazując palcem mówił: „ja panu załatwię”. W kilka minut sala była jego. Gdyby nie debata z Kwaśniewskim w telewizji, zapewne wygrałby drugą turę. Kaczyński naprawdę dużo się od niego nauczył. Teraz ma pod kontrolą większość mediów, nie musi obawiać się wpadki. Ale paradoksalnie właśnie to może mu

zaszkodzić. Tu może zadziałać inny syndrom, syndrom PRL. Popularnym powiedzeniem wtedy było, że: „wiadomości dzielimy na prawdziwe, prawdopodobne i kłamstwa. Prawdziwe to informacje sportowe, prawdopodobne, prognoza pogody, reszta natomiast to kłamstwa”.

Nie każdy działacz społeczny jest politykiem, ale każdy polityk powinien być działaczem społecznym. Dzisiaj będzie głównie o naszej, polskiej, przedwyborczej kuchni. I czy bigos w niej ugotowany będzie nadawał się do zjedzenia, a jeśli tak, to czy nie spowoduje jakiejś ciężkiej choroby żołądka i ogólnego rozstroju. Kto wie co z tego wyjdzie. W zależności od okręgu wyborczego i w znacznym stopniu rokowań, komitety przewidują ile mogą dostać mandatów. Duże komitety liczą na kilka, małe zaś na choćby jeden. Z punktu widzenia partii politycznej są też bardziej i mniej atrakcyjne okręgi, tak zwane bastiony jakiejś jednej opcji politycznej. Zwykle jest to prawica, a region ten składa się nie tyle z gmin i sołectw, co z parafii. Nie będę się jednak o nich rozpisywał, tylko wrócę do tego bigosu, który już się nam ugotował, czyli do obsady miejsc. Jest to jeden z trudniejszych momentów dla większości partii.

Krwawa walka idzie zwykle o pierwsze i drugie miejsce. W Warszawie są one zarezerwowane dla lidera i jego największego pupila, lub jeśli w grę wchodzi koalicja, to dla koalicjanta. Podobnie jest na prowincji, tylko tu gra jest ostrzejsza i bywa perfidna, bo niejednokrotnie trudno określić bezdyskusyjnego lidera. To jest ten moment, w którym już wiadomo kto z kim będzie najbardziej rywalizował. Wbrew intencjom szefów partii, komitetów i tych, którzy zajmują niekwestionowane pierwsze miejsca, czyli naturalnych liderów, największym wrogiem kandydata nie jest jego konkurent polityczny, ale sąsiad z listy.

Miejsca trzecie (czwarte w zależności od okręgu) i ostatnie to miejsca dla ludzi, których z różnych powodów zignorować nie można. Głównie dlatego, że mają wysoką pozycję społeczną, są

znani, często jedyni fachowcy i ich rozpoznawalność oraz osobowość może przyciągnąć wielu nowych wyborców, co przy metodzie D'onta jest bardzo istotne dla całej listy. Mimo, że ideologicznie są to ludzie sprawdzeni, to niekoniecznie liderzy widzieliby ich w sejmie, choćby dlatego, że nie są do końca przewidywalni, mogą mieć własne zdanie i dlatego trudno nimi sterować. Są jednak znani i jako tacy mogą przyciągnąć wielu sympatyków, którzy niezależnie od partii na nich właśnie oddadzą swój głos. A ich nieobecność na liście może nawet zaszkodzić.

Przyjęto się, że miejsce ostatnie jest lepsze niż trzecie. Niekoniecznie. Ktoś mniej zorientowany jeśli zechce poprzeć dwóch, lub trzech kandydatów, to karta pozostaje ważna, ale ten głos dopisuje się temu, który jest wyżej. Często wyborcy zaznaczają pierwszego kandydata, sądząc, że w ten sposób oddają głos na listę, a dopiero później wskazują osobę, którą chcieliby widzieć w sejmie. Zaletą ostatniego jest jedynie to, że jest to miejsce w jakiś sposób wyeksponowane. W okręgu takim jak np. Lubelski, gdzie jest do podziału dziesięć miejsc, komitet może zarejestrować maksymalnie dwudziestu kandydatów, czyli dwa razy tyle, ile okręg przewiduje mandatów.

Od czwórki do przedostatniego, przy średniej wielkości komitecie wyborczym, są to już tylko tak zwani wypełniacze. Chociaż zdarzało się w historii, że ktoś z piątego czy szóstego miejsca wszedł do parlamentu. To jednak wyjątki, najczęściej rolą tych ludzi jest przyciągnięcie głosów rodziny, znajomych oraz namówienie ich, by robili sobie kampanię. Polityka to taki narkotyk, że nawet nie mając śladowych szans, w pewnym momencie zaczynamy wierzyć, że jednak nam się uda i ludzie ci, naprawdę ciężko pracują na zdobycie każdego głosu. Wielokrotnie partie nie miały tylu chętnych by w mniejszych ośrodkach zapełnić wszystkie miejsca i zamknąć listy. Owszem, mogą wystawić mniej kandydatów, ale to oznacza, że w całości uzbierają mniej głosów. Proces

budowania list jest trudny, pełen napięć, intryg i nienawiści. Poza PiS-em, gdzie prezes jednoosobowo ustala to w jeden wieczór. Jestem już zmęczony wybieraniem mniejszego zła. Ale nie mogę też przyłożyć ręki do tego, by wygrało Prawo i Sprawiedliwość. Mam już swojego kandydata, a jeśli jesteście wściekli, że znowu nie ma na kogo głosować, oddajcie swój głos na kogoś ze środka lub ostatniego. Fajnie byłoby się umówić, że wszyscy głosujemy na konkretny numer, właśnie ten daleki od wpływów lidera. Np, wszyscy na środkowego. Owszem, jest ryzyko, że jako wypełniacz może nie być specjalnie rozgarnięty. Ale trójki lub ostatnie, to już nie są leszcze. Może nie są też idealni, ale wolę ich niż liderów, z których każdy w jakiś sposób mnie, jako wyborcę, oszukał.

Autorstwo: Piotr Jastrzębski

Źródło: Trybuna.info